

Daniel Halévy

Ponad nadzieją i rozpaczą

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (51), 11-22

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Szkice

DANIEL HALÉVY

Ponad nadzieją i rozpaczą *

A jednak i dla Nietzschego nastał czas sławy: Kopenhaga ogląda jej narodziny. Brandès wysyła doń list, aby mu donieść o powodzeniu, jakim cieszą się odczyty o nim; publiczność cisnęła się na nie tak tłumnie, że musi je najpierw powtórzyć, a drukiem ogłosi je później. „Norweg Strindberg — dodawał — stał się twoim zagorzałym zwolennikiem”. Nietzsche radosne nowiny przekazuje natychmiast Peterowi Gastowi i dorzuca: „Strindberg napisał do mnie; po raz pierwszy otrzymałem list, w którym usłyszałem światowy i historyczny sposób mówienia”. „Welthistorisch” — światowy i historyczny! Któż odtąd będzie zasługiwał na to określenie bardziej niż zapoznany nasz bohater? W St. Petersburgu trwają już przygotowania do przekładu jego *Przypadku Wagnera*; w Paryżu *Taine* poszukuje i znajduje wreszcie tłumacza godnego niego; jest to Jean Bourdeau, kierujący redakcjami „*Débats*” i „*Revue des Deux Mondes*”. „Nareszcie —

Niewczesna
sława

* Tymi stronicami kończy książkę D. Halévy: *Nietzsche*. Paris (1944) 1977 Ed. B. Grasset; tytuł fragmentu pochodzi od tłumacza.

wykrzykuje Nietzsche — wielki Kanał Panamski prowadzący do Francji został otwarty...”. Dawny jego kolega, Deussen, przekazuje mu trzy tysiące franków, dar jakiegoś nieznanego, który chce mieć swój udział w kosztach druku jego pism. Meta von Salis-Marschins, raczej nie obdarzona fortuną, daje tysiąc. Niestety, jest już za późno na wszystko, nic nie powstrzyma rozpoczynającego się upadku. Co stać się by mogło, gdyby Nietzsche, zdrowy na umyśle, zaznał powodzenia, które miało spaść nań raptownie, równie niezwykle, jak niepowodzenia, które towarzyszyły mu nieodmiennie? Światowa paplanina byłaby mu bardziej nieznośna niż wcześniejsze milczenie. „Nikommu nie daję prawa — napisał kiedyś — do udzielania mi pochwał”. Być może na niedogodności mody odpowiedziałby zakazem puszczania w obieg swych książek.

Jest już za późno na wszystko, powiedzieliśmy: nie ma już Nietzschego, którego znaliśmy. Frenetyk, który w niego wstąpił, namiętnie chłonie wrzawę, jaka rodzi się wokoło niego. Pragnie, by ogień, który jego spala, spalał także świat. Nad odbitkami drukarskimi *Ecce homo* pracuje z taką samą zawziętością, jak to miało miejsce przy odbitkach *Przypadku Wagnera*, dołączając najpierw post-scriptum, następnie dytrambę, a na koniec zapowiedź nowego pamfletu *Nietzsche contra Wagner*. „Zanim rzuci się na rynek — pisze do wydawcy — pierwszy tom mego wielkiego dzieła, stworzyć trzeba prawdziwe napięcie, w przeciwnym razie będzie tak jak z *Zaratustrą*”. Oto więc jest już swym impresario. A 8 grudnia pisze do Petera Gasta:

„Przeczytałem powtórnie *Ecce homo*, odważyłem każde słowo na złotych szalach: to przełamuje dosłownie ludzkość na dwa kawałki — jest to dynamit najwyższego rzędu”.

I 29, znów do Petera Gasta:

„Podzielam Pańskie zdanie: co do *Ecce homo*, będziemy się trzymać tysiąca egzemplarzy. Tysiąc egzemplarzy, w Niemczech, dla dzieła stworzonego w wielkim stylu, to i tak

Prawdziwe
napięcie

to rzecz nie bardzo rozsądna. We Francji, *mówię to całkiem poważnie*, liczę na nakład w czterdziestu albo w osiemdziesięciu tysiącach egzemplarzy”.

2 stycznia 1889 r. pisze jeszcze jedną kartkę (pismem bardzo powiększonym, zniekształconym): „Proszę mi odesłać wiersz — od przodu wraz z *Ecce!*”. Byłoby dobrze zrozumieć dokładnie sens tych ostatnich już słów, dlaczego mianowicie Nietzsche domaga się zwrotu swego poematu. Zapewne pragnął go przerobić, być może zastąpić go inną dytrambą. Kartka jest datowana z 2 stycznia. Jest tedy pisana nieomal nazajutrz po wieczorze św. Sylwestra, który od czasów dzieciństwa jest w jego życiu datą ważną przez wzgląd na medytację, jakiej się wówczas oddaje, wskutek wysiłku, do którego się zmusza, aby zebrać wszystkie siły swego skłóconego jestestwa i wydobyć z nich harmonię. Również w owych dniach, do których doszliśmy, nie zaniedbał zwykłego obrzędu. Raz jeszcze zapragnął wyrwać się furii tworzenia oraz niszczenia, która go trawi od roku bez mała; zapragnął wyjść poza dionizyjskie natchnienie, wybuchnąć nową żarliwością, nie znaną nikomu przed nim. Apolliniński Goethe, przywoływany od dwu lat po tylekroć, nie mógł przynieść mu ratunku. Innego potrzeba mu środka, nie pogodności, jej czas przeminął i jego dusza czegoś innego łaknie, domaga się żarliwości. Stworzyć albo gdzieś odkryć nową żarliwość było to zawsze jedną z jego nadziei. Oto wskrzeszona, rzuci za chwilę ostatnie iskry. Św. Sylwester nie minął nadaremno. Kilka skreślonych szybko słów, wymownych jak krzyk, jest świadectwem ostatniego kryzysu. Wstrząśnięta do głębi świadomość Nietzschego nie jest niewątpliwie już zdolna do formułowania myśli. Nadeszła chwila zapowiadana dwiema linijkami napisanymi około roku 1885:

*Nun lacht die Welt, der grause Vorhang riss,
Die Hochzeit kommt für Lich und Finsterniss.
(Nareszcie świat się śmieje, drze się okrutna zasłona,
Zaślubin czas nadchodzi dla światła i ciemności).*

Wieczór
św. Sylwestra

Odkryć nową
żarliwość...

Mistyczne
zaślubiny

Zjawiają się widzenia. Raz jest to Jezus a raz Dionizos, dziwaczna para boska, której pojawienia się już przedtem byliśmy świadkami. Święcą teraz swe mistyczne zaślubiny. „Zniknę — przepowiadał sobie Nietzsche — porwany przez zagadkową burzę, w której naraz będę człowiekiem i błyskawicą”. Człowiek, ów człowiek najwyższy to Jezus, Syn człowieczy, wcielenie Wiekuistego; błyskawica to Dionizos, żywy ogień. Czy dostrzegł Nietzsche ich oblicza, czy postyszał ich głosy? Nie wiemy tego; jedno jest pewne: ich współobecność. Pośród papierów, które troskliwe ręce zaraz pozbierały po pokoju, w nieładzie pozostawionym przez obłąkanego, znajdzie ktoś kartkę z nagryzmołonymi ołówkiem słowami (Jaspers dokładnie omawia ten szczegół) łączącymi w jedno oba imiona: *Dionizos, Ukrzyżowany*.

Pewnego
dnia...

„Pewnego dnia, który musiał nadejść pomiędzy 28 grudnia a 3 stycznia — pisał Charles Andler — stopili się w nim Dionizos i Ukrzyżowany... W piorunujących błyskach zjednoczyli się, w potoku ognia, który ich zalał”.

Albo też wypełnił się ową bezbrzeżną radością, którą opiewało kilku wspaniałych przedstawicieli jego rasy — Eckart, Tauler, a najbardziej Suso; być może został nawiedzony przez tego stwórczego ducha, którego obwołał światłem wielki poeta reński, Raban Maur z IX stulecia:

*Veni, creator spiritus,
Mentem tuorum visita,
Imple superna gratia
Quae tu creasti pectora.*

A zatem 2 stycznia napisał do swego wydawcy. Poprzestańmy na tym objaśnieniu urojeń umysłu trawionego wewnętrznym ogniem. Obłęd zniszczy tę wspaniałą istotę, odtąd skazaną na chaotyczne objawianie się w rzucanych bez związku zdaniach i okrzykach, nim całkiem zaniknie w na poły starczym, na poły dziecinnym odrętwieniu.

* * *

9 stycznia 1889 r. Franz Overbeck, stojąc wraz z żoną w oknie swego bazyleańskiego domostwa, ujrzał Jacoba Burckhardta, jak zatrzymuje się przed bramą i pociąga za dzwonek. Zaskoczyło go to całkowicie; nie łączyły ich żadne bliskie stosunki; nagła intuicja podsunęła mu, że to ich wspólny przyjaciel, Nietzsche, dał do tych odwiedzin sposobność. Overbeck otrzymywał od kilku tygodni z Turynu dość osobliwe kartki pocztowe. Cóż mogło przytrafić się temu samotnikowi? Burckhardt potwierdził jego przecucie, przynosząc list, który był aż nadto jasny:

„To ja jestem Ferdinand de Leseps; to ja jestem Prado; ja jestem Chambige (dwaj zbrodniarze, którymi zajmowały się podówczas gazety paryskie); byłem dwukrotnie pogrzebany tej jesieni...”.

W krótki czas potem Overbeck otrzymał list analogiczny. Wszyscy, których Nietzsche był znał dawniej, których zna jeszcze, tak samo zostali zaalarmowani. Brandès — tymi słowy:

Listy

„Georges, Przyjacielu!

Odkąd mnie odkryłeś, nie potrzeba cudu, aby mnie odnaleźć. Rzeczą trudną teraz będzie mnie utracić”.

Cosima — te oświadczyły, źródło tytu komentarzy:

„Ariadno, kocham cię.

Dionizos”¹.

Najlepszy przyjaciel — te dwie wymowne linijki:

„MEMU MAESTRO PIERO

Śpiewaj mi pieśń nową. Jasny jest świat a niebiosą się radują.

Ukrzyżowany”.

Peter Gast nie pojął straszliwej wagi tych słów. Jakże często Nietzsche mawiał do niego: „Drogi mae-

¹ 27 marca 1889 r. lekarz jенеjskiej kliniki psychiatrycznej zaprotokołował to zdanie: „To moja żona, Cosima Wagner, przyprowadziła mnie tutaj”.

Głos
Zbłąkanego

stro, proszę, siądź do fortepianu; graj mi, śpiewaj, coś z Chopina lub z Petera Gasta...". Usłyszał znany sobie głos, szczęśliwy i rozluźniony głos Zbłąkanego, Wygnańca, dla którego tak wiele dobrego zrobił, toteż wietrzył jakiś bystry dowcip. Największa to wyświadczona przyjaźni łaska: brutalny kontakt z chorobą umysłową był mu oszczędzony.

Zdarzenie
na ulicy

Burckhardt i Overbeck nie mieli wątpliwości. Overbeck pojechał do Turynu. Znalazł Nietzschego w pokoju odnajmowanym wraz z meblami wyspiewującego, wykrzykującego swą chwałę, tłukącego łokciem w fortepian do wtóru okrzykom i rykom. Zaniepokojony właściciel nie spuszczał z niego oka. Overbeck wysłuchał jego opowieści. To na ulicy rozegrało się ostatnie przesilenie: po wyjściu z domu Nietzsche ujrzał woźnicę okładającego batem konia; oburzony, rzucił się między człowieka a zwierzę, obejmując je ramionami, całując jego chrapy, nie pozwalając go bić. Powstało zbiegowisko, interweniował policjant. Uderzenie krwi do mózgu zważyło Nietzschego z nóg. Właściciel pokoju zwabiony hałasem zbiegł na dół i wdał się w wyjaśnienia. Nietzsche wkrótce powrócił do siebie, ale majaczernia, w które popadł, nie opuściły go.

O pewności szaleństwa, tak namiętnie przywoływane od dawna! Pierwszym ich wkładem jest poryw miłości, spóźnione wyzwolenie zdławionej duszy... Teraz ekstaza sylwestrowej nocy staje się jasna: jeżeli Jezus i Dionizos w nim mają się połączyć, to po to, żeby porwać jego duszę z sobą i rzucić do oceanu miłości.

Policja gotowa była osadzić go w areszcie. Overbeck interweniował; występując w imieniu Uniwersytetu Bazyleńskiego uzyskał to, że pozwolono mu zabrać go z sobą. Idąc za radą pewnego lekarza powiedział Nietzschemu, że jest posłany po niego przez Bazyleę z zaproszeniem do wzięcia udziału w uroczystościach przygotowywanych przez miasto na jego cześć. Nietzsche nie był zaskoczony wiadomo-

ścią o tak wielkich hołdach; wiedział przecież, że cała ludzkość oślepiąca była jego chwałą, zapatrzona w jego geniusz. Zaproszenie przyjął. Lekarz, którego rady Overbeck posłuchał, zaopiekował się nim na czas podróży; zakłóciło ją jedynie kilka małych znaczących wybryków. Rzucane bez związku zdania przeplatał Nietzsche pieśniami, recytacjami; raptem w pewnej chwili poruszyła Overbeckiem wygłoszona z niezwykłą słodyczą kantylena, którą natchnęło Nietzschego piękno weneckiej nocy:

Kantylena

„Pewnego wieczoru, we mgle, / Przechylony przez poręcz mostu / Zasluchany w daleki śpiew, / Tryskające krople złota / Na szumiącej w oddali wodzie. / Gondole, światła, muzyka, / Upojenia bujające o zmierzchu. / Ma dusza, samotna lutnia / Tracona niewidocznie, / Dla siebie wzniosła pieśń, / Tajemną pieśń gondoli / Drżąca od szczęścia. / Któż posłyszysz ją?...”

Wspaniałe są te ostatnie wiersze:

*Meine Seele, ein Saitenspiel,
Sang sich, unsichtbar berührt,
heimlich ein Gondollied dazu,
zitternd vor bunter Seligkeit.
— Hörte Jemand ihr zu?...*

Wciąż ta sama *l'ombra di Venezia*, która nawiedza go i znika do ostatniej chwili, a nawet jeszcze dłużej.

W Bazylei kończy się ta smutna gra. Sanitariusz oczekiwał chorego, który odwieziony został do kliniki, gdzie naczelny lekarz poddał Nietzschego oględzinom z uwagą i szacunkiem: jego młodszy syn był wielbicielem myśliciela. Widać teraz, jak bardzo mylą się ci, którzy uważają, iż obłąd Nietzschego zniszczył jego sławę. Właśnie dopomógł jej, to pewna. Nadał jej posmak skandalu. W ciągu kilku tych samych miesięcy, osobliwym zbiegiem okoliczności, zapalił się i jego mózg, i rzesza biernej dotąd publiczności. Z kliniki bazyleańskiej przeniesiono Nietzschego do prywatnej lecznicy w Jenie.

Obłąd i sława

I na tym trzeba nam poprzestać, historia chorego

wykracza poza ramy naszego tematu. Nietzsche oszalał, Nietzschemu ograniczono swobodę ruchów, Nietzsche odcięty od świata... Wieści takie dochodzą do publiczności, wreszcie przygotowanej do ich zrozumienia; sukces, triumfalny sukces buchnął jak płomień.

* * *

Pusta nadzieja

Gwałtowny kryzys minął, pozostawiając po sobie istotę krańcowo wycieńczoną, lecz nie poniżoną. Przez kilka miesięcy lekarze wstrzymywali się z prognozykami, nie chcieli odbierać nadziei. Nietzsche, donoszono, chwyta za pióro sięga po papier. Kruche podwaliny pustej nadziei. Overbeck, który widział Nietzschego po raz ostatni 24 grudnia 1895 r. w domu jego matki, w Naumburgu, daje surowy opis tego spotkania:

„Przez cały czas, jaki tam spędziłem, Nietzsche nie opuścił swojego fotela. Nie wyrzekł ani słowa, od czasu do czasu wbijał we mnie zmętniały wzrok, z którego wyczierała chwilami wrogość. Zrobił na mnie wrażenie szlachetnego zwierzęcia, śmiertelnie zranionego, zaszytego w kącie kryjówki, w której zamierzało skonać. Czy rozpoznał mnie, czy był zdolny odezwać się do mnie? Nie umiałem z tego zdać sobie sprawy, a nie chciałem pytać o to matki”.

Pani Nietzsche umarła w roku 1897, Lisbeth Förster-Nietzsche (która powróciła po owdowieniu z Paragwaju) zaopiekowała się jego osobą i aż do ostatnich dni czuwała nad nim jak nad własnym dzieckiem. Zakupiła w jego imieniu — Nietzsche stał się bogaty, dzieło przyniosło mu fortunę — grunty na zboczach, które wznosiły się nad Weimarem. Wybór był trafny. Trzeba było minąć dom Goethego, przejść koło fontanny i jej kamiennego basenu, z którego piły konie u wjazdu do miasteczka; wspiać się idącą pod górę, już wiejską drogą; po kilkuset metrach ukazywało się schronienie, w którym Nietzsche przeżył swe ostatnie lata pod opiekuńczym cieniem wielkiego mędrca swojej rasy.

Friedrich Nietzsche nie istniał już, ale jego cień, pozostały jeszcze przy życiu, nadal oddychał przy boku Lisbeth, czuwającej niestrudzenie. A gdy pewnego dnia ta, siedząca przy nim, nie mogła powstrzymać łez, spostrzegł je i się zdumiał.

Nietzsche
i jego cień

„Lisbeth — rzekł cicho — czemu płaczesz? Czyż nie jesteśmy szczęśliwi?”

Nie jest rzeczą niemożliwą, żeby wyzwolony od frenetycznego ducha, który go dręczył, Nietzsche nie zaznał szczęścia. Rozciągnięty na szeszlengu, pozostający w tak doskonałym, tak długotrwałym bezruchu, iż widywano niejedną raz ptaki przesiadujące na jego korpusie, żył zajęty kontemplacją nieboskłonu i widnokręgu, cały pochłonięty powolnymi zachodami słońca. Przedkładał zawsze nad wszystkie inne owe święta gasnącego światła, w którym, jak to raz napisał, „najbiedniejszy rybak wiosłuje złotymi wiosłami”. Obecnie najbiedniejszym rybakiem był on sam a zmierzchający blask rozrzucił promienie zapadające w uspioną duszę, która go tak miłowała.

Najbiedniejszy
rybak

Rzecz osobliwa: jak się wydaje, Friedrich Nietzsche zaznał za swoich dobrych dni (lecz czegoż nie zaznał ten Proteusz życia wewnętrznego?!) stanów pokornej aprobaty, całkowitej depersonalizacji. Wiosną 1882 r. przebywając na Sycylii doznał tego rodzaju ekstazy, która wstrząsnęła nim z pewnością, ponieważ liczne aluzje, tu i tam rozsiane po dziele, ją odzwierciedlają. Trzy linijki, napisane dosyć późno, bo około 1887 r., oddają dokładniej charakter przeżycia:

„*W forcie Gonzaga, u bram Messyny. Stan głębokiej medytacji. Wszystko skłania mnie ku temu, żeby się odsunąć od ludzi; żadnych więcej związków — ani miłości, ani nienawiści. Jak porzucona twierdza. Ślady wojny, trzęsienia ziemi także. Zapomnienie*”.

Tego dnia musiał Nietzsche dotknąć punktu leżącego ponad nadzieją i rozpaczą, ponad ludzkim doświadczeniem, które przemierzył w całości. W tym

Zapomnienie

stanie znalazł się ongiś na kilka chwil w roku 1882 i był jeszcze pełen sił w porywie medytacji i w nim znalazł się ponownie, u kresu ostatniego etapu wędrówki, rażony gromem Tytan Weimaru. Porzuconą twierdzą jest teraz on sam. Wojny go doświadczyły, nosi ich ślady. Ziemia pod nim drżała i może drzy nadal, lecz on o tym nie wie. Zapomnienie: zapomniał wszystko. Byłby w ekstazie, gdyby jego świadomość umiała odzwierciedlić, ożywić ekstazę. Niestety, zgasła. „Myśl jest tylko rozbłyskiem — powiedział nasz Henri Poincaré — ale ten rozbłysk jest wszystkim”. Nie ma już, w Nietzschem, tego rozbłysku. A Thierry-Maulnier: „Żywe zwłoki bezużytecznie przechowywane przez dziesięć jeszcze lat, okazują wartość tego, co przepadło”.

Nabożnie
zbierane
powiedzenia

Z roku na rok coraz większy spokój przepajał to odprężone jestestwo. Spokój, który nie był wszakże zupełną biernością. Pobudzana do życia dusza była wciąż zdolna (z rzadka, oczywiście, coraz rzadziej) do wzruszających powiedzeń, nabożnie zbieranych przez ludzi, którzy go otaczali. Siostra widząc pewnego dnia, z jaką uwagą jego spojrzenie spoczęło na książce właśnie przez nią odkładanej, sięgnęła po nią i podała mu. Rozległy się słowa nieobecnego:

„A ja, czyż nie pisałem pięknych książek?”.

Innego dnia, kiedy Lisbeth pokazała mu portret Wagnera:

„O, jego, jakże go kochałem!”.

Zdarzyło się też, iż podczas przechadzki (towarzyszył mu pewien student przygotowujący do druku jego zapiski) Nietzsche spostrzegł małą dziewczynkę, której wielkie oczy, zdumione zapewne jego nie-normalnym wyglądem, utkwiły w jego oczach. Zatrzymując się przy niej, kładąc dłoń na jej głowie, odgarniając włosy opadłe na czoło, powiedział:

„Czyż to nie obraz niewinności?”.

Młody sekretarz nie stracił był poranka: zdobył

ogromny atut do własnych uwag, z których dziś odczytujemy wewnętrzną kronikę kroków samotnika. Nietzsche, wałęsający się u jego boku, napotkał w oczach dziecka *to spojrzenie pełne miłości i dobrej woli*, którego życzył sobie do ukończenia dzieła.

* * *

Jeżeli chcemy zgłębić odwieczne przeznaczenie tej duszy, to zwróćmy się od razu do Goethego. Nietzsche jak Faust oddał się Diabłu i to, czym Faust natchnął Goethego, niech zachowa ważność dla Nietzschego.

Historia
Fausta

Faust, pokonany po rzuconym wyzwaniu, umiera. Mefistofeles ma wszelkie prawa do niego i poleca szatanom udać się po powalone na ziemię ciało. Nauczony ostrożności wyczynamy tego, kto nieraz za życia wprowadził go w zdumienie, sam rusza na miejsce, żeby dozorować wykonanie zleconych prac. „Tu leży trup i duch ujść chciałby już, / Wraz mu pokazę kontrakt krwią pisany, / Lecz świat ma teraz dużo chwytów szczwanych / do wydzierania diabłu dusz”, powiada². Nieufność usprawiedliwiona, bo oto anielskie hufce podrywają się, nadlatują nad leżącego Fausta, a Mefistofeles wdając się z nimi w spór zaczyna tonąć w powodzi różanych płatków, które zrzucane przez aniołów opadają na jego czerwone włosy, na ramiona, powodując bolesne swędzenie. Szatany tracą pewność siebie, ratują się ucieczką, srodze upominane: „A niechże sieją! / Z was zaś niech każdy trwa na miejscu swym. / Snadź chcą kwiatkami, jak śnieżną zawieją / gorących diabłów zasuć”. Próżne wołanie: szatany pierzchają, rażone nie znanym im ogniem. Mefistofeles zaś czując i na sobie jego skutki wrzeszczy: „Mnie płonie serce, łeb, wątroba płonie, / Arcydia-

² Przekład F. Konopki.

belski żywioł wre mi w łonie!”. Tym ogniem bardziej dojmującym od jego własnego jest ogień miłości. Daremnie wymachuje kontraktem, wysłannicy Łaski lekceważą dokument, nie zwracają uwagi na podpisy. Mefistofeles w końcu ustępuje, pozostawia zwłoki, z których był tak dumny. Jeden z aniołów chwytą je w ramiona i unosząc się ku niebu śpiewa:

Już świata duchów człon w swym śnie
 Złych sił wyrwany sforze:
 „Kto wiecznie dążąc trzodzi się,
 Tego wybawić mogę”.
 A zwłaszcza gdy miłości żar
 W nim z wyżyn skrepił swą niecił,
 Radosnym pędem szczęśliwych chmar
 Wybiegniem mu naprzeciw.

Wówczas to Małgorzata zanosi do Marii prośbę o ratunek dla Fausta. Miłość ją zraniła, miłość daje jej moc teraz. Maria czyni zadość modlitwie i za jej wstawiennictwem oboje, porzucona i dręczyciel, wstępują do niebios. Wita ich śpiew najwyższy, *chorus mysticus*:

Wszystko, co mijają, jest
 Li przyrównaniem;
 To, czego brak nam jest,
 Tu nam się stanie;
 Co niewysłowione jest,
 Był ziści ten;
 Wieczna kobiecość nas
 Pociąga hen.

Tyle, jeżeli chodzi o Fausta. Ale jakież kobiecego głos zanieś modlitwę za Nietzschego? Kochanki, w jego gorącym życiu, nie było.

przełożył Stanisław Cichowicz

Wniebo-
 wstąpienie